

Poczcziwe zło

TEATR. Goście na deskach opery

Mieszkańcy zapomnianej przez Boga i ludzi skalistej wysepki krzywdzą się, przeklinają nawzajem i źle sobie życzą. Ale jednocześnie nie mogą bez siebie żyć. Bo nikogo innego nie mają.

Kiedy wymienia się najważniejsze filmy dokumentalne w historii kina niefabularnego, w czołówce pojawia się „Człowiek z Aran” Roberta Flaherty’ego. To powstała w 1934 roku, oszczędna w środkach opowieść o społeczności żyjącej na niedostępnych, skalistych wysepkach nieopodal Irlandii, toczącej nieustanną i beznadziejną walkę z naturą o kawałek poletka czy trochę ryb.

Ponad 60 lat po powstaniu dzieła Flaherty’ego Martin McDonagh, londyński dramaturg z irlandzkimi korzeniami, wraca do czasów i ludzi z tamtego filmu. Tłem jego „Kaleki z Inishmaan” staje się przyjazd na wyspy Aran ekipy filmowej wyszukującej ludzi, których życie można by podglądać. Znakomitą interpretację sztuki, przygotowaną przez zespół warszawskiego Teatru Powszechnego, można było obejrzeć w poniedziałek w Gdańsku na deskach Opery Bałtyckiej.

Więć o ekipie filmowej i pojawiającej się wraz z nią szansie na wyrwanie się z uprzykrzonej codzienności natychmiast rozchodzi się wśród hermetycznej społeczności i wywołuje prawdziwe wstrząsy. Każdy liczy na to, że coś się zmieni w jego zwyczajnym życiu.

A owo życie – egzystencja na kawałku skały wbitym gdzieś w wzburzone morze – rzeczywistość jest nie do pozazdroszczenia, jeśli wierzyć McDonaghowi. Stare powiedzenie, że „piekło to inni” znajduje pełne potwierdzenie. Mieszkańcy, nie dość że sami „potrzaskani” – niektórzy w sensie tylko mentalnym, inni także i fizycznym – za wszelką cenę starają się potrzaskać życie innym. A to ktoś zabije kota sąsiada, a to skatuje znajomego, a to wyśmieje czyjąś słabość. Wydawać by się mogło – bestie w ludzkiej skórze. Jednak to zgromadzenie ludzkich osob-



Mieszkańcy Aran, współcześnie, w wykonaniu aktorów Teatru Powszechnego

liwości robi wrażenie gromady poczcziwców. Ba! Na końcu okazuje się, że pod podartym drelichem każdy z nich nosi w sobie złote serce.

McDonagh zdaje się mistrzem psychologicznego portretu człowieka nie radzącego sobie z rzeczywistością. Na dodatek obleka indywidualne historie mieszkańców wyspy w szaty czarnego humoru. Po mistrzowski kreują te postaci warszawscy aktorzy. W pamięci zostają przede wszystkim brawurowe kreacje Edyty Olszówki i Rafała Królikowskiego — w ich wykonaniu rodzeństwo: Helen i Bartey, konglomerat zabawnego niedużnictwa i zdumiewającego okrucieństwa, budzi na przemian wybuchy szczerego śmiechu i oburzenie. Johnypateemike Władysława Kowalskiego, współreżysera przedstawienia, jest wyjątkowo przekonujący w swoim podszytym poczcziwością lotrzykostwie.

Sztuka McDonagha jest zakotwiczona w konkretnym czasie i miejscu dużo lepiej niż rachityczne łódki, które w filmie Flaherty’ego porywa sztorm, a jednak niesie uniwersalne przesłanie i refleksje, prawdziwe zarówno Atlantykiem, jak i

Morzem Bałtyckim. Bo poczcziwość, choć mało efektowna, jest w gruncie rzeczy w cenie zawsze i wszędzie.

PRZEMYSŁAW GULDA

Martin McDonagh, „Kaleki z Inishmaan” w wykonaniu aktorów Teatru Powszechnego w Warszawie. Przekład: Małgorzata Semil. Reżyseria: Agnieszka Glińska i Władysław Kowalski. Premiera: luty 1999 roku